

Ireneusz Socha

CZAS W MIEJSCU ZATRZYMANY

Wstałem około ósmej rano. Najpierw, jak zwykle, wyrząłem przez okno wychodzące na kirkut. Szok. Stoi chasyd, typowy, z rudą brodą, kapeluszem, pejsami. Czarny płaszcz do łydek, czarne spodnie, czarne buty. Modli się. Zapala świece wotywny - cztery lub pięć - krótkie, smukłe, białe. Z kartki identyfikuje nagrobek rodzinny. Wyciąga malutki modlitewnik i zmawia kadysz. Kołysze się. Odgarnia ziemię rękami, by odczytać napis. Nagrobek jest zasypywany częściowo ziemią i zarosły trawą. Nikt nie doszukiwał się jego treści od wielu lat. Na chasyda czeka taksówka. Wychodzę czym prędzej, by wykorzystać szansę.

Czekam długo łażąc po okolicy, by ani na chwilę nie stracić go z oczu. Ukradkowo obrzuca spojrzeniem ludzi przechodzących chodnikiem zaledwie kilka metrów od niego. Jest duży ruch poranny: rodzice - do pracy, na zakupy, a dzieci - do szkół. Wszyscy gapią się na niego. Niektórzy niezdarnie naśladują jego kołysanie się i drwią z niego. Widać uśmiechnięte twarze.

Podchodzę bliżej. Rozmawiam z taksówkarzem. Jest z Rzeszowa. Mówi, że obcy nic nie powiedział, jedynie pokazał kartkę z napisem: "Dębica, cmentarz żydowski". Teraz jestem pewien, że to chasyd amerykański, choć to nielogiczne, bo mógłby równie dobrze pochodzić z Izraela. Wreszcie widzę, że mój chasyd kończy modlitwę nad grobem swoich krewnych i błogosławi otaczające go stele. Potem wykonuje zdjęcia przy pomocy małego aparatu: najpierw najważniejszego dla siebie nagrobka, następnie kilku innych. Kolejność wykonywania zdjęć i wybór nagrobków są dla mnie tajemnicą.

Chasyd podciąga spodnie i zbliża się coraz bardziej do samochodu bez przerwy zerkając w moją stronę - jakby zaniepokojony, i przez cały czas robi zdjęcia nagrobków. Wreszcie szybko otwiera drzwi taksówki, a ja będąc w odległości rozumienia głosu zagaduję go. Chasyd jest zaciekawiony i przełamuje się. Mówi trochę nerwowo, lecz rzeczowo. Ja jestem zdenerwowany jeszcze bardziej niż on. Często muszę powtarzać niewyraźnie wypowiedane słowa. Mści się na mnie to, że nie praktykuję rozmów po angielsku. Chasyda mogę teraz oglądać z bliska. Nie ma więcej niż dwadzieścia dwa, trzy lata. Nosi okulary w drucianych oprawkach. Moją uwagę zwraca jego masywny nos z wielkimi porami skórnymi zacopowanymi łojem, na którym osiadły kropki brudu. Na jego brodzie i wąsach utworzyły się kropelki pary wodnej, które błyszczą w porannym słońcu pod jego dolną wargą. Pod rozpiętym płaszczem widzę elegancką kamizelkę atłasową i kutn tałas. Jest postawny i wysoki.

- Przepraszam bardzo! Mogę na słówko? Czy tu leży pańska rodzina?
- No, tak. Przyjechałem na groby mojej rodziny. Mój dziad był tu, w tym mieście, przed wojną rabinem.
- Jestem wstrząśnięty. Jest pan pierwszym, którego tu widzę, krewnym odwiedzającym swoich zmarłych. Myślałem, że nikt tu już nie przyjedzie. Wy macie słuszne prawo, by odwiedzać to miejsce. Nie mogę mówić...
- Czy jest pan Żydem z krwi?

- Nie, nie, jestem... wielbicielem kultury żydowskiej...
- Kim? Kim?
- Wielbicielem.
- A, tak, tak. Mieszka pan w tym mieście?
- Tak.
- W tym domu? - wskazuje na blok.
- Tak, w tym domu. Moje okno wychodzi akurat na nagrobek kogoś nazwiskiem Ascher Goldberg. Zna go pan?
- Nie. A czy był stary? W jakich latach żył?
- Urodził się w 1886. Tak jest napisane na nagrobku. Tu jest jeszcze nagrobek kohena z tym symbolem rąk - pokazuję.
- Chciałby pan coś zrobić dla tego miejsca?
- Tak, jeślibym potrafił. Bo ja nie mogę patrzeć, jak mieszkający tu ludzie i dzieci... - szukam słów.
- Biegają wkoło? Tak?
- Biegają wkoło, bawią się, sikają... One nie wiedzą, nawet dorośli, nikt im nie powiedział. Nagrobki leżą popękane, poniewierają się. Jako człowiek kulturalny nie mogę patrzeć...
- Co pan proponuje? Bramę wejściową z gwiazdą i ogrodzenie ozdobne? Czy coś...
- Proponuję wybudowanie tych rzeczy i jeszcze ściany płaczu z rozbitych nagrobków...
- Ściany płaczu?
- Jest zwyczaj w polskich miastach, gdzie znajdują się takie cmentarze, że buduje się tzw. ściany płaczu z połamanych nagrobków.
- Dobrze. Czy cały ten teren pusty, to też cmentarz? Aż po tamte drzewa?
- Tak, aż tam. To to wszystko, co widać.
- Może mi pan dać swój numer telefonu?
- Nie, nie mam, ale mogę dać adres...
- Adres? No, w porządku. - Piszę i podaję mu.
- Proszę.

- Czy pan pracuje, tzn. żeby zastać pana w domu. W jakich godzinach pan pracuje?
- Od szóstej do trzynastej.
- Aha. To może mi pan da telefon do pracy?
- Wolałbym nie.
- Rozumiem, wolałby pan nie... - Chasyd spogląda na zegarek.
- To dziękuję bardzo panu! Szalom!
- Szalom! - Odpowiada chasyd, choć obawiałem się, że nie odpowie.

Na chwilę podchodzi taksówkarz i mówi, że miałem rację, to Amerykanin, bo gada po angielsku... Chasyd wsiada i po chwili odjeżdża.

Popołudniem tego samego dnia dowiaduję się od kolegi z pracy, że w Leżajsku dzień wcześniej odbył się zjazd chasydów z okazji dwóchsetlecia urodzin cadyka Weissbluma.

Ireneusz Socha

(Opowiadanie opublikowane po raz pierwszy w szóstym numerze artzine'u DRUT kwiecień / maj 1987. Niniejsza poprawiona wersja została zredagowana w 1999.)